NUMER 20. DNIA 17-go MAJA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Powiadali mi chrześni... *)

Powiadali mi chrześni, moi chrześni ojcowie,
Kiedym dzieckiem siadywał nad wodą:
„Nie przedumuj ty, Franku, nad potokiem, bo kto wie,
Co się stanie z tą twoją urodą?

„Wyjrzy z toni boginka, z topieli, co się pieni,
I urzeknie oczami, niezbozna,
I tak cię przeinaczy, tak do znaku odmieni,
Że cię matka rodzona nie pozna.“

Powiadali mi chrześni, kiedym ze wsi wychodził,
A świat mi był otwarty, jak brama:
„Nie chodź, Franku, bo bedziesz kiedyś żalem zawodził,
I dusza już nie wróci ta sama.“

Obaczysz kraje większe, lecz niech cię to nie łudzi,
Bo i nędze obaczysz tam krwawsze —
Świat oczy przeodmieni — zapomnisz swoich ludzi
I serce ci zabierą na zawsze...“

Oj, czemużem nie słuchał waszej dobrej przestrogi,
Czemużem was nie słuchał, o chrześni!
Dziśbych chętnie powrócił z tej opłakanej drogi
I żył w szczęściu, jak żyją rówieśni...

Przez ten urok nieszczęsny muszę w dalekie kraje —
W życie coraz smutniejsze i łzawsze...
Świat oczy przeodmienił — i was już nie poznaję,
A serce mi zabrali na zawsze...

Władysław Orkan.

W wiosenny dzień.

Zajaśniał wiosenny dzień. Z pod lodowej powłoki wypłynęły śpiewne, migotliwe strumyki, zwiastując nowe życie, zieleń pokryła senne dotychczas obszary. Zajaśniało wiosenne słonko, budząc w człowieku żywym wszystkie słoneczne potęgi: myśl krzepiącą, słowo hartowne, uśmiech, słodyczą kojący, spojrzenie, tęczą przymierza zbrojne.

Człowiek żywy rozwarł ramiona w miłości do wiosennego świata, a szczerozłote struny jego serca zadźwięczały hymnem dziękczynienia i prośby. Olbrzymi wtórował mu chór: harfy perliste potoków, wiolonczele borów, rzeźwe oboje wi-

*) Ze zbiorku poezyj pt. „Z tej smutnej ziemi“, który świeżo opuścił prasę nakładem Księgarni Polskiej.

chrów, surmy głębokie morza i głuche łomoty gór.

Hymn był prastary, niezmienny... Fatum niewzruszone, odwieczne...

Kto hymnu nie dosłyszał, kto go nie śpiewał, ten nie żył.

Był jako cień, mgławica, widziadło, próchno, jak przeklęty, na bezżycie skazany, by mroki fałszu roznosił po świecie, by plenił zwątpienie i smutek.

Ale w wiosenny dzień przeklęci nawet łaski doznają; wiosenny dzień to złoty wir blasków, w którego falach toną zapomniani.

A każdy dźwięk hymnu to siła życiodajna dla tych, którzy go słyszą.

Człowiek śpiewał:

„Ojcze nasz, twórco życia, któryś jest w niebie gorejącą nieskończonością, święć się imię twoje, tajemnicą bytów groźne, przyjdź królestwo twoje, umiłowaniem wszechmocne, przez wszelką istotę żywą upragnione, która z tęsknoty ku niemu omdlewa, wije się w matni zwątpienia lub obłędną rozpaczą się miota. O przyjdź królestwo twoje, by ucichły głosy bluźniercze, głoszące, że ono tylko ułudą i marą.

Bądź wola twoja w sercu każdem, w każdej godzinie istnienia, w każdej krwi naszej kropli, w pierwszym uśmiechu dziecka i w ostatniem westchnieniu odchodzących z ziemi. W każdej godzinie istnienia bądź wola twoja, wyzwalająca dobro i piękno.

Światła nam daj, byśmy wolę twoją pojęli i moc własną poznali.

Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, jak nie poskąpiłeś go wczoraj, daj nam dla chleba sprawiedliwy szacunek, niech się nim bracia po bratersku dzielą, niech dla niego wolą twoją, królestwem i imieniem twojem frymarczyć przestaną, by głód i przesycenie zniknęły z ziemi.

I nie wwódź nas na pokuszenia martwoty i nocy, lęków i pychy, przemocy i zwątpienia, ale nas zbaw ode złego, by brat nie zabijał brata myślą, słowem, uczynkiem, bezczynnością i chłodem swoim.

Zabójstwo ducha twego — oto winy są nasze. Amen.“

Tak śpiewał człowiek żywy, a kiedy skończył, głos w samym sobie usłyszał:

— Królestwo moje, wola moja są w sercu twojem. Czemuż ich tam nie szukasz? Czemuż samego siebie zabijasz? W tobie jest moc i światło! W tobie twoje własne zbawienie!

Antonina Morzkowska.

Z tej smutnej ziemi *).

Pieśni młodego poety — pierwsza pieśni jego wiązanka! Dźwięki ich płyną z gór i hal, — z ziemi „łez i wiecznych cieni, gdzie głód się rodzi i owies zieleni, a ludzie dawno zapomnieli wiosen.“ Ziemia to nam nie obca, — znamy jej czarownie piękne oblicze i jej duszę przesmutną, — znamy z obrazków, nowel, dramatu, szkiców, tomowych powieści Władysława Orkana. A teraz mówią o niej pieśni, bo i w nich ona króluje, ona władnie, — ta uboga, skamieniała, nieszczęsna, — ta wyniosła, rodzona, najdroższa!

Pieśń roztacza jej barwy, migoce jej blaskiem: złocą się tu łany marnych zbóż, co z wysianego korca dają ćwierć, — zielone hale śpią, zaklęte w ciszę, — „granitowych szczytów olbrzymie sterczy gniazdo i z chmur spogląda do błękitów“, — brylantami baśni i skrzą się groty legendowe, w których „odwiecznym dumem siadły mroki senne“, — ale często, najczęściej wieją chłodem i pustką szare ugory, po których smutek pomyka, jak cień...

Pieśń chwyta i głosy „tej smutnej ziemi“, aby powtarzać je graniem echowem w duszach ludzkich: „uboczą idzie smreków szum, potoki huczą w dole“, — dzwonią śród jałowców dzwonki owiec, — ptaszęta śpiewają, „aż im się dzióbki pienią“, „a tajemnicze źródła leśne czyszczą ze szmerem przy świetle księżyca, połyskujący, złoty piasek“, — ale głośniej i wyraźniej, niż wszystko inne, „płacze słychać ciche, zamiast pieśni — płynące łzy“...

Beznadziejne, cmentarzom podobne ugory życia i łzy niedoli ludzkiej — to najczęstsze, niemal wyłączne tematy w pieśniach Orkana. Serce poety — podobnie jak ziemię jego rodzinną, „ziemię kęp i wiecznej nędzy“, — zamroził ból, — ból miljonów, których „mowa jest nieustannem łkaniem, żywot każdego powolnem konaniem, a życie wszystkich jeden cichy zgon“...

*) Władysław Orkan: „Z tej smutnej ziemi“ — Lwów, 1903. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego — Warszawa. E. Wende i Sp. str. 114.

B I E C Z.

Z literatury o Bieczu: „Biecz i jego zabytki" (przez A. K.) „Tygodn. Illustr." 1868 II. Łuszczkiewicz Wł. „Wycieczka do Biecza" Sprawozd. hist. sztuki tom IV, V i VI. Teka konserwatorska. F. M. Sob. „Wnętrze fary w Bieczu" „Tyg. Illustr." 1860. Kowalczuk M. „Kościół farny w Bieczu". „Dom wójtowstwa w Bieczu" Spr. hist. sztuki IV. Ratusz z turmą więzienną tamże, Szpital, tamże. „Dom rodzinny Kromera" „Przyj. Ludu" Leszno 1840. „Pomnik grobowy Becza w Bieczu" Lwowianin 1841. S. Morawski Sandeczyzna S. I.

Łuna, która w dni dzisiejsze, każdego nieledwie wieczora, gorzeje ponad sioła nasze i miasta z jakąś nieubłaganą w tym roku siłą i zniszczeniem, rozszalała także i nad starożytnym Bieczem. I jeżeli wieść o każdym pożarze obrzmiała jest rozpaczą i bolem, łzami bezdomnych i nieszczęsnych, zgryzotą, głodem i nędzą, to wiadomość o pożarze Biecza mieści w sobie jeszcze smutek rzewny a nieutulony, żal wielki niewiadomo do kogo, bezsilny a nieokreślony wyrzut — taki sam, jak narzekanie za rzeczą niepowrotnie zaginioną. Bo ten pożar nam przeszłość zabiera. Domy wznoszą się na nowo, czas rany zabliźni, praca dobrobyt przywróci, ale minionej świadków przeszłości nikt już nie wskrzesi, na dawnem miejscu nie postawi. A dzisiejszych czasów ludzie takby chcieli zachować wszystko, co było, jak matka, co dzieciny zmarłej kryje sukienki. Może lepsza, ta wymarzona przyszłość już, już nadchodzi, więc ją przyjąć

Wieczny smutek zamroczył poecie niebo czarnemi skrzydłami i niema już dla niego wyjścia z posępnej ciemnicy dusznej, u której progu konają wszystkie promienie wesela. Nadaremnie przyroda nasuwa kojące obrazy, — nadaremnie zachodnia zorza śle mu pod stopy „światło rzęsiste („Cień"), złoci przed nim łąk aksamity i łany zbóż, przetykane bławatem i kąkolem, — poeta dostrzega „w życie twarz chłopa śmiertelnie bladą" i „cień" zachodzi na słoneczność świata... Nadaremnie, broniąc się urokowi, rzuconemu nań przez „tę smutną ziemię", odbiega rodzinnych gór i trzód i pasterzy („Przelotne ptaki"), spieszy w obce, wolne, szczęśliwe kraje, gdzie „całe życie zdaje się tonąć w bieli i błękicie, słońce promieni żywot i ozłaca" — nadaremnie, bo i tam nie znajduje, czego pragnął, — idzie „w te blaski martwemi oczyma — myśl nieustannie i zawsze powraca w krainę, kędy wieczna leży zima"...

Nawet w przejasnym górnym świecie myśli niema dlań przystani cichej. Oto „wyolbrzymiałą duszą płynie w nieskończoność świata („Przekleństwo"), wpatrzony w białe słońca rozkwitłe ognisko", — gdy nagle płacz od ziemi nadpływa „chmurą ciemną", już jest blisko, już „u stóp ryczy burzą", wzbija się wyżej — już niebo mu zasłania, staje między nim a słońcem, — między nim a gwiazdami, co „migocą, jak ogniste liście, świecą barwami kwiatów po niebieskich dworach".

I po chwili złudnych omamień, poeta wraca znowu sercem ponad przepastne urwiska, na pustki, ugory i niże, gdzie „łzawa Niedola, rozpuściwszy włosy, jak siny obłok przez powietrze leci, wychudła Nędza wlecze się po tłoku i z niemą prośbą wyciąga swą szyję, ból się w jałowcach po za cieniem kryje... a ciemna Rozpacz z wiatrem się szamoce i ręce łamie nad głową i wyje jak, zawierucha pól w zaduszne noce."

Niedola, Nędza, Rozpacz — to jego muzy, chmurne, mściwe, nieubłagane, jak — życie. One stroją mu lutnię, gasząc czarną krepą jej struny: one szepcą słowa pieśni, w których żal szemrze, płacze bezbrzeżne współczucie dla cierpiących, woła trwoga serdeczna o jutro „tej smutnej ziemi"...

trzeba w dawnej chacie, aby nawiązać nić mogła z dawnymi czasy i pójść dalej w zapomnieniu lat klęski i niedoli.



Ratusz w Bieczu.

Miasteczko Biecz w Gorlickiem, zdołało zachować szczęśliwie swój starożytny charakter, niby muszka w bursztynie. Czas był jakiś litościwszy na stare jego podcienia, dla fary bieckiej, a do dni wczorajszych także i dla jego domu radnego, ratusza. Do murów bieckich przyrosły całe wieki bez szkody i bez ciężaru ; jeszcze tam zda się były żywe słowa Marcina Kromera, jeszcze się swarzyło echo czynów warcholskich biskupa Muskaty, jeszcze ciągle Mikołaj Ligenza obwoływał swój żywot z alabastrowego nagrobka. Dla badaczów dawnych zabytków sztuki, starego przemysłu, historji i wogóle dla wszystkich miłośników przeszłości, był Biecz i jest prawdziwem źródłem wiadomości a źródłem obfitem. To też wiadomość o pożarze nic dziwnego, iż wstrząsła do głębi tych wszystkich, co ojczyste kochają spominki a niesprawdzona dotychczas wiadomość o spłonięciu starego ratusza wraz z królów polskich dyplomami jest nieledwie że wieścią hiobową. Wszak takiej pięknej i żywej przeszłości, jaką Biecz w swoich murach kryje, niewiele miast naszych posiada. „*Parva Cracowia*“, małym Krakowem zwano go niegdyś dla piękności gmachów, małym Rzymem się Biecz dotąd czasami nazywa dla mnogich a wspaniałych swoich kościołów. Cieszyło się to miasto rzeczywiście łaskawą troskliwością królów polskich, zrodziło jednego z największych w narodzie mężów, historyka Marcina Kromera, było siedliskiem rzemiosła starego i sztuki, bogatego mieszczaństwa i ogólnego dobrobytu. Przeszłość Biecza zamierzchłych sięga czasów. Już w wieku trzynastym, za króla Wacława, co był równocześnie i królem czeskim, jest ono miasto potężne i bogate, perła w doczesnej, światowej koronie biskupów krakowskich, a potem od Władysława Łokietka w koronie królewskiej. A równocześnie gdy na mieszkańców Biecza płynęły nadania i przywileje królewskie jak z rogu obfitości, na zamku bieckim rozgrywały się sprawy dla narodu całego wielkiej doniosłości, a Władysław Jagiełło, ów król, co zda się mnożył i troił, aby wszędzie być swą osobą na miejscu, częstym stawał gościem między bieckie mieszczany.

Wśród dobrych wieków powszechnej zamożności mnożył się dostatek i dobro mieszkańców miasta. Przez długie wieki słynęło ono dobrocią swoich rękodzielniczych wyrobów, a pod względem praw i przywilejów z największemi miastami polskiemi zrównane, stało się i samo jednem z ważniejszych ognisk życia ówczesnego. A jakiem było to życie, świadczą dziś jego nieme, a jednak bardzo wymowne świadki — historyczne zabytki.

Z osobliwości miasta wymienić trzeba, że w Bieczu istniał najstarszy cech zegarmistrzowski, a zegarmistrze tamtejsi byli ludźmi wielkiej zręczności i w fachu swoim niezwykle uzdolnieni. Z innych spraw zwraca na się uwagę niezwykła srogość jego sądów, tłumacząca się mnogością rozbojów i swawoli. Wystarczy powiedzieć, że około roku 1614 stracono tam razem i jednocześnie 140 zbójów i opryszków. Częste kary śmierci zrodziły też potrzebę oddzielnego powołania ludzi do spełniania wyroków sądu i stąd stało się miejsce to głównem na cały kraj i jedynem siedliskiem rzemiosła... katowskiego.

Spalony obecnie po części ratusz stoi na środku rynku, mieszcząc w sobie biura sądu powiatowego. Niegdyś był to okazały budynek, przyozdobiony u góry dokoła piękną attyką. — W późniejszej przebudowie zatraciły się pierwotne jego cechy architektoniczne, a pozostała jedynie wieża — wspaniała, znacznej wysokości, wybudowana z cegły. Mury jej wznoszą się do wysokości przeszło 50 m. i podzielone są na 6 wysokich, nierównych piątr. Ostatnie 3 piętra są ośmioboczne. Na ostatniem piętrze urządzony jest ganek otwarty bez poręczy, a wyżej trzon wieży, na którym się wspiera hełm baniasty. Na ścianie zachodniej piętra drugiego wprawione są renesansowe tarcze herbowe, pięknie rzeźbione: orzeł polski, herb Ligęzów i Kromera. Na ścianie wschodniej trzeciego piętra jest tarcza zegaru pełnego o 24 godzinach, pięknemi cyframi, wśród ozdób geometrycznych, narysowana na tynku. Archiwum ostatnimi czasy nie znajdowało się w ratuszu, ale w domu, najętym na kancelarję gminną niedaleko rynku. Akta bieckie zaczynają się od r. 1383.

F. Jaworski.

Nad świeżą mogiłą.

(Według artykułu W. Gomulickiego).

Zdarza się, że pisarze pozostawiają po sobie kilkadziesiąt tomów, treści z pozoru podmiotowej, osobistych wynurzeń pełnej, a jednak duszy swej przed światem nie odsłonią.

Innym znów razem, w jednym drobnym utworze pisarz, nawet nie starając się o to, daje światu najdokładniejszą podobiznę swego duchowego wnętrza.

W ostatniem położeniu znalazł się Ludwik Jenike.

Co dziwniejsza, ten jego utwór samokrytyczny nie należał zgoła do literatury podmiotowej; nie był ani „spowiedzią dziecięcia wieku“, ani „pamiętnikami zagrobowymi“, ani „wyznaniami poufnemi“, słowem... niczem takiem, w czem autorowie, pod pozorem bezwzględnej szczerości, przed współczesnymi i potomnymi — pozują.

Była to rozprawka w roku 1865 wydana p. t.: „O znaczeniu rytmu w poezji, a mianowicie o rytmiczności języka polskiego“.

Rytm, rytmiczność nie tylko stanowiły przedmiot szczególnego kultu dla pisarza; one wypełniały także duszę człowieka, były zarazem osią i busolą jego długiego, cnego żywota.

Trudno wyobrazić sobie człowieka bardziej zrównoważonego, ściślej przestrzegającego wszędzie i we wszystkiem „miary“, w działalności pisarskiej, obywatelskiej, nawet towarzyskiej rytmiczniejszego, niż Ludwik Jenike.

Ten „umiar“, jakby od mędrców greckich przejęty i nicią duchowej koligacji łączący naszego pisarze z Goethem, pozwolił mu, mimo sił dość wątłych, doczekać poważnej sędziwości, dokonać długiego szeregu dzieł pożytecznych, przeżyć o kilka dziesiątków lat brata Emila, zdolnego muzyka, o którym dochowała się tylko pobieżna w encyklopedjach zapiska.

Encyklopedje podały i o Ludwiku kilka dat i faktów suchych, z których dowiadujemy się między innemi: że przyszedł na świat w roku 1818, że był początkowo urzędnikiem „Najwyższej Izby Obrachunkowej“, i że w roku 1838, a więc licząc zaledwie lat 20, „zaczął pisywać do gazet ówczesnych“.

Napróżno oglądamy się dziś za rówiennikami Jenikego. Najstarsi z naszych żyjących pisarzów: Pietkiewicz (Pług), Miłkowski (Jeż), Faleński, Zacharyasiewicz, Kaszewski i t. d., o siedm, ośm lat później na świat przychodzili. Najbliższy mu wiekiem jest Karol Brzozowski, urodzony w roku 1821. Po rówienników lub prawie rówienników sięgaćby trzeba do doby bardzo odległej, wymieniać nazwiska Balińskiego Karola, Berwińskiego Ryszarda, Wasilewskiego Edmunda, Olizarowskiego Tomasza, wszystkich należących

do zamkniętego już okresu literatury, nikomu podobno, dziś żyjącemu, osobiście nie znanych.

Odyńca, któregośmy odprowadzili na sen wieczny przed szesnastu laty, również zaliczano do starców i nazywano Nestorem, a jednak liczył pół dziesiątka lat mniej, niż Jenike.

Około roku 1838 trudno było u nas komukolwiek myśleć o pracy literackiej, jako o wyłącznym „zawodzie". Jenike, zawsze trzeźwo liczący się z rzeczywistością, odrazu to zrozumiał, dlatego widzimy go zarazem: na liście współpracowników gazet i w szeregach urzędników Izby obrachunkowej.

Nie było dane Jenikemu zabłysnąć w literaturze pracą twórczą. Napisał dużo wierszów (przeważnie „białych", to jest nierymowych).

Natomiast zasługi Jenikego jako tłómacza są niemałe. Wspomnę o nich niebawem obszerniej; tymczasem z jego literackiego „stanu służby" wypisuję fakt ważny: w r. 1851 zaczął redagować „Księgę świata".

Można śmiało twierdzić, że w owym czasie trafił na swą drogę właściwą, która zresztą nie była jedyną, wskazaną mu przez rodzaj uzdolnień.

„Księga świata" należała do wydawnictw perjodycznych, prowadzonych wzorowo. Dziesięć roczników tego wydawnictwa dotąd z przyjemnością i pożytkiem czytać się daje. Pożytek płynie z mnóstwa artykułów podróżniczych i literackich; przyjemność — z licznych, bardzo pięknych rycin, głównie czarnych, oraz kolorowanych stalorytów i litografji.

Redaktorska i obywatelska gorliwość Jenikego potrafiła znaleźć dla siebie wyraz i w tem piśmie, przeważnie poświęconem wiadomościom o krajach obcych. W „Księdze świata" zjawiały się prace oryginalne o przedmiotach obcych, a obok nich takie, gdzie i forma i przedmiot były oryginalne. Ostatnich dostarczał głównie sam redaktor.

Tu ukazała się między innemi obszerna rzecz Jenikego o Stefanie Czarnieckim, która w wiele lat później, rozszerzona i uzupełniona, wyszła w książce oddzielnej.

Praca redaktorska w „Księdze świata" była dla Jenikego wstępem do innej, poważniejszej i donioślejszej.

W połowie 1859 roku ukazał się prospekt „Tygodnika illustrowanego", w początkach zaś października tegoż roku pierwszy numer z nagłówkiem, rysowanym przez Piwarskiego, ozdobionym na czele podobizną głośnej naówczas rzeźby Oskara Sosnoskiego: „Anioł Zmartwychwstania".

Publiczność przyjęła nowe pismo nie tylko życzliwie, ale z zapałem. „Wkrótce po ogłoszeniu prospektu liczba przedpłacicieli urosła szybko do imponującej, jak na owe czasy, cyfry 3.000, co samo już z siebie dowodziło rzeczywistej takiego pisma potrzeby".

Zdolności literackie Jenikego musiały być już wówczas niepowszednie, a talent redaktorski pierwszorzędny, jeśli nie wahano się powierzyć mu stanowiska tak trudnego, które w dodatku było u nas prawie zupełnie nowe.

Jakim redaktorem był Jenike, ile dobrego zdziałał na tem stanowisku dla literatury, sztuki, spraw społecznych, ekonomicznych, etycznych i t. p., mówić nie trzeba. Pisano o tem po wiele razy.

Powtarzać to wszystko raz jeszcze, byłaby rzecz zbyteczna.

Uwydatnić wszakże wypada jeden działalności tej szczegół: stosunek redaktora do pisarzów początkujących, do — rekrutów.

Niema dziś pewnie wśród starszych i średnich literatów polskich takiego, któryby z Jenikiem stosunków współpracownictwa nie utrzymywał. Dla wielu z tych literatów on był kumem, podającym do chrztu autorskiego pierworodne dzieci ich ducha.

Wiadomo, że ród ochotników literackich, zwłaszcza dobijających się o tytuł poety, jest rozmnożony nakształt śledzi, a swemi, śmiesznemi najczęściej, pretensjami potrafi najcierpliwszego wyprowadzić z równowagi. Ale równowaga Jenikego nigdy niczem nie mogła być zachwiana. Ten idealny redaktor z jednakową powagą i uwagą brał do ręki każdy nadesłany rękopis i ani drwił z potykań się niedoświadczonej stopy, ani litował się nad niemi, lecz tylko: poprawiał, poprawiał, poprawiał...

Dopiero, gdy po długich, mozolnych trudach przekonał się, że w dziwolążny ów płód żadnym sposobem ducha tchnąć nie można, zwracał go autorowi. I wówczas jednak z poszanowaniem autorskiej drażliwości i z powagą, która go na chwilę nie opuszczała, mówił mu, że powinien pracę rozpocząć od początku i czytać,

uczyć się, studjować, lub też — co będzie o wiele łatwiejsze, wziąć się do innego zawodu...

W literaturze najtrwalszą zasługą Jenikego pozostaną jego przekłady poetów niemieckich, głównie Goethego.

Na czele wspomnianych przekładów postawić wypada „Fausta“. Jenike, choć nie „poeta natus“, potrafił zdobyć się tu i na liryzm, i na siłę dramatyczną, na ton hulaszczy i szyderczy, posługując się różnemi formami wiersza, z utajonym dość szczęśliwie wysiłkiem rymowania. Jego przekład należy u nas do najlepszych.

Prócz „Fausta“ spolszczył Jenike z równą starannością „Hermana i Dorotę“ (heksametrem), „Szczwanego Lisa“, „Torquata Tassa“, „Ifigenię“, oraz sporą garść nieprzekładanych wpierw przez nikogo wierszów lirycznych niemieckiego poety.

Pochód do Chin.

(Wspomnienie osobiste.)

W kwartalniku „Goniec rewolucji rosyjskiej“, wydawanym przez jedną z rosyjskich partyj rewolucyjnych, znajdujemy ciekawe wspomnienia oficera, który odbył kampanję chińską i opisuje okrucieństwa, popełniane w tym nieszczęsnym kraju przez „cywilizatorów“ europejskich, o ile jeszcze Rosję do Europy zaliczyć można. Stanowią one ciekawe *pendant* do „Listów huńskich“, ogłoszonych w swoim czasie przez Bebla w parlamencie niemieckim. Gdy się je czyta, przypominają się mimowoli nietylko czasy tłumienia naszego powstania, ale wprost najazdu Tatarów na Europę w XIII wieku. Streszczamy ważniejsze ustępy tych wspomnień.

* * *

Jednym z najwybitniejszych faktów początku wieku XX było t. zw. poskromienie buntowników chińskich. Ta „poskramiająca“ kampanja była prowadzona w sposób zupełnie nowy i przyćmiła okrucieństwem wszystkie gwałty i okropności, które zwykle towarzyszą wojnom. Jeżeli mamy choć w dziesiątej części wierzyć bez wątpienia przesadnym opowiadaniom o łagodności żołnierza rosyjskiego, które rozchodziły się podczas wojny tureckiej, to poprostu przerażenie ogarnia na widok zmiany, jaka nastąpiła w umysłach i sercach tychże żołnierzy w ciągu jednej ćwierci wieku. Przyczyna tej zmiany, tajemnica wybuchu wstrętnych namiętności ciemnej masy żołdactwa i ograniczonych, zdziczałych oficerów, leży w warunkach wychowania koszarowego ostatnich lat, szkole dzikiego ultraszowinizmu, przez które przechodzi armja, wreszcie w warunkach, wśród których odbyła się kampanja.

Pomijamy historję zatopienia i wymordowania 18.000 spokojnych i pracowitych kupców, oraz robotników chińskich, zamieszkujących miasta rosyjskie po lewej stronie Amuru, wody którego przez długi czas wlekły jeszcze opuchnięte trupy żółtolicych. Ci sami mieszkańcy Błagowieszczeńska, którzy na wezwanie jenerała Grybskiego mordowali i pędzili do rzeki swych sąsiadów i towarzyszy pracy, przyczem pocieszali się myślą, że Chińczyk nie ma duszy, tylko „parę wodną“ — potem przez długi czas brzydzili się wody rzecznej. Ale są to rzeczy znane i opisywać ich nie warto.

Chińczycy prawego brzegu wykazali takąsamą słabość i niezdolność do obrony, jak ich wytępieni rodacy. To też nasi znaczniejsi i mniej znaczni dowódcy chciwie poszukiwali najmniejszej sposobności odznaczenia się. Wkrótce prowincje nadgraniczne Chin pokryły się zgliszczami i popiołem, a ludność została wyrznięta prawie do nogi. Oto np. leży, a raczej leżała, nad Amurem bogata i kwitnąca wioska chińska Mo Che. Otaczają ją nędzne okopy, z których, stosownie do bezsensownego rozkazu dowódcy chińskiego, rozpoczęto głośną, ale zupełnie nieszkodliwą strzelaninę na przepływający parostatek rosyjski. Rosjanie wkroczyli do Mo Che, zrównali je z ziemią, poczem wyrznęli nietylko załogę, ale całą

spokojną ludność, mężczyzn, kobiety i dzieci. Mordowanie kobiet i dzieci było tem motywowane, że nie można pozwolić, by wyrosły lub zostały z czasem urodzone „węże", któreby później zechciały zemścić się na Rosji. Według tej logiki, wojna mogłaby się zakończyć dopiero po wytępieniu 500 milionów ludzi, zamieszkujących państwo chińskie.

(D. c. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Monografje z historji Żydów w Polsce.* Na podstawie konkursu imienia H. Wawelberga wynagrodził wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego dwie prace z zakresu żydowskich dziejów w Polsce, a mianowicie pracę dra Zbigniewa Pazdry p. t. „Organizacja i praktyka żydowskich sądów podwojewodzińskich w okresie 1740—1772 r. na podstawie lwowskich materjałów archiwalnych" i pracę dra Mojżesza Schorra p. t. „Żydzi w Przemyślu". Obie książki opuściły w tych dniach prasy drukarskie i obie składają na wstępie podziękowanie fundacji konkursowej, która ich wydawnictwo umożliwiła. Szkoda doprawdy, że nie ma u nas więcej tego rodzaju fundacji, gdyż przykład konkursów Wawelberga wskazuje, jak wiele w każdym kierunku pracy historycznej jest do zrobienia i jak wiele można zrobić przy pewnej pomocy materjalnej.

Praca dra Zbigniewa Pazdry, jak wogóle wszystkie wydane dotąd prace tego młodego autora, odznacza się tem, że przynosi bardzo wiele rzeczy zupełnie nowych, dotychczas wcale nieznanych, i to w ściśle naukowem opracowaniu, z owładnięciem i wyzyskaniem odnośnych źródeł do najmniejszego szczegółu, najmniejszej kwestji, która się tylko mogła wyłonić.

Na podstawie znajdujących się w lwowskiem Archiwum aktów grodzkich i ziemskich, resztek aktów lwowskiego sądu podwojewodzińskiego od r. 1740 do rozbioru Polski i kilku jeszcze lat porozbiorowych, omawia autor organizację i praktykę tychże sądów, ilustrując swój ściśle fachowy wykład drugą częścią dzieła, gdzie pomieścił wszystkie ważniejsze akta w księgach powyższych się znajdujące. Jest więc skutkiem tego niniejsza publikacja równocześnie i wydawnictwem materjałów źródłowych, krytycznie zestawionych i opracowanych. Materjały te zawierają mnóstwo ciekawych i charakterystycznych rysów kulturnych i obyczajowych ówczesnego żydowstwa lwowskiego, nie pomija też ich autor w swojem opracowaniu, chociaż głównie mu chodzi o stronę prawną podwojewodzińskiego sądu i jego jurysdykcję. Sąd ten rozsądzał sprawy między chrześcijaninem i żydem, a pod względem wewnętrznej organizacji rozpadał się na trzy instancje: 1) sąd urzędu podwojewodzińskiego, 2) sąd podwojewodziego, 3) sąd wojewody.

Sama organizacja sądu tego podwojewodzińskiego wzorowaną była na organizacji sądów grodzkich. Sąd podwojewodziński składał się z podwojewodziego, sędziego, pisarza i instygatora, w ten jednakże sposób, że od orzecznictwa sędziego szła apelacja do podwojewodziego, a w wypadkach nadzwyczajnych i bardzo rzadko do wojewody jako do ostatniej instancji. W dalszym ciągu rozpatruje autor szczegółowo jurysdykcję sądu tak pod względem zakresu lokalnego i kompetencji, jakoteż i pod względem rzeczowym. Szczególnie zaś dokładnym jest autor i szczegółowym w rozpatrywaniu strony proceduralnej, tak, że nie ma z pewnością ani jednej kwestji z zakresu przewodu sądowego, nad którąby się autor nie zastanawiał, nie rozpatrywał ze stanowiska materjałów, będących przedmiotem jego studjum. Materjały te w krytycznem zestawieniu i uporządkowaniu stanowią drugą część książki. Sposób taki wydawnictwa materjałów, bardzo praktyczny i pożądany, zaczyna się u nas coraz bardziej przyjmować. Zastosował go także i dr. Mojżesz Szorr we wspomnianej już pracy „Żydzi w Przemyślu", podając cały szereg dokumentów, między którymi także wiele hebrajskich. — Wracając jednak do książki dra Zbigniewa Pazdry, to trzeba przedewszystkiem podnieść, że autor prawnicze swoje wywody ilustruje mnóstwem przykładów z praktyki sądów podwojewodzińskich, a skutkiem tego ściśle naukowe rozumowanie przybiera cechę zajmującego opowiadania lub opisu. Wiadomo, jak trudno pogodzić taką ściśle naukową metodę z barwnością opowiadania. Udało się to jednak drowi Pazdrze w zupełności, tak, że jego rzecz zainteresować winna nietylko historyków, ale i szersze koła, zwłaszcza Lwowian, którzy znajdą tam sporo ciekawych bardzo szczegółów z przeszłości miasta i żydów lwowskich, mnóstwo charakterystycznych rysów obyczajowych i cywilizacyjnych owego czasu.

NOTATKI. *Data urodzin Słowackiego.* Juliusz Słowacki urodził się w Krzemieńcu dnia 23. sierpnia 1809 roku. O dacie tej, jako w dniu swoich urodzin, wspomina nieraz poeta w listach do matki, tak, iż pod tym względem żadnej wątpliwości być nie może. Wątpliwość w ustaleniu daty polega tylko na tem, czy dzień 23. sierpnia należy liczyć według nowego czy starego kalendarza. Nad kwestją tą zastanawia się p. Leopold Méyet w dłuższym artykule, drukowanym w „Kurj. Warsz.", i dochodzi do wniosku, że Słowacki przyszedł na świat 23. sierpnia 1809 r. starego stylu, któremu odpowiada dzień 4. września n. st. Wniosek swój p. Méyet opiera na fakcie, iż w gub. wołyńskiej stary styl zaczął obowiązywać już od 1. stycznia 1797 r. i na metryce chrztu z wody Słowackiego, sporządzonej d. 24. sierpnia st. st. 1809 r.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.